

Od autora: Tekst jest wstępem do innego mojego pt. "Siniaki".

Spoglądamy na strzelisty strop Kościoła Mariackiego, wypełniony mętnym powietrzem, jakby trwało tam bez ruchu przez setki lat. Może już kiedyś tutaj byliśmy, może wszyscy ludzie już tutaj byli. Zdobienia oblekają ściany jak człowiecza skóra tkanki, pozwalając, by naczynia krwionośne przetwarzały słowa modlitwy na pieśń ku czci własnej świadomości.

Kocham cię.

- Polatamy? - pytasz.

Obejmuję talię cyborga wspomaganego mocą silnika mechanicznej bestii. Skórzany pancerz ukrywa pulsujące organy. Wewnątrz buzuje krew i nawet przez grubą powłokę czuję jej ciepło, wytwarzane tańcem miliardów turbin upiętych w cielesną infrastrukturę. Mięśnie oddalają od siebie równo ułożone żebra i zasysasz tlen, jak paliwo. Kilka tysięcy obrotów na minutę, w miejską przestrzeń wdziera się dziki krzyk hordy ujadających psów. Mknijemy pośród kolorowej kaskady światel, a prędkość szybująca w górę, jak słupek rtęci podczas upalnego dnia, stapia ją w migotliwy snop pelzający po szybcie kasku. Urbanistyczne kształty wieżowców, kamienic, galerii - municypalna pieczęć ludzkości, płaczą się niczym warkocze młodych dziewcząt podczas tańca. Jeśli zginiemy, to razem, jeśli zapłaczą anioły, to tylko czarne, jeśli przykryje nas sypka ziemia, to w jednej trumnie.

Kocham cię.

Strach to nienasycony potwór, który przychodząc, zagarnia wszystkie myśli i nie pozostawia przy tym nawet maleńkiej szpary, by na moment wyściubić głowę, odcina dopływ powietrza. Stałam przed drzwiami sali, w której za kilka minut miał rozpocząć się język polski. Do odpytywania z recytacji „Ody do młodości” zostałam tylko ja. „Nie dasz rady” tłukło w skronie nieznośnym gorącym. „Nie będzie nikogo przed tobą, usiądziesz, lista obecności i przepaść”.

Uciec, uciec jak najdalej, cisnąć w kąt ciężki plecak i zostawiając w szatni kurtkę, buty, jednym pchnięciem otworzyć ciężkie drzwi. Biec, bieć przez siebie do utraty tchu, a później nigdy nie wrócić. Byłam gotowa do dezercji z miejsca mojego stracenia, tak samo jak byłam pewna czającego się za plecami wstydu. „Kurwa, znowu zwiejesz? Jak pryśniesz, Sikora się wkurzy i nie zdasz na pewno. Już i tak podpadłaś, to twoja ostatnia szansa.” - Strzępy rozsądku usiadły na ramionach, zwiększając ciężar ciała i paraliżując nogi. - „Może nie przyjdzie, może jest chory, już minuta po czasie.” Na końcu korytarza zamajaczyła wysoka postać odziana w błękitny garnitur z ciemnogramatowym czymś pod pachą, uśmiercając nowo narodzoną nadzieję. "Jest, idzie, ma dziennik." Wypacykowany, pod krawatem, szpakowaty pan koło sześćdziesiątki, mówiący powoli, wyraźnie i nienaganą polszczyzną.

Zaduch w sali wywołał rozedrganą falę mdłości. Szuranie krzeseł, brzęk rozpinanych tornistrów, trzask książek i piórników, suchość w gardle, nerwowe przetykanie nieistniejącej śliny, szum, wielki szum w uszach, wszystko to sprawiało wrażenie sennego koszmaru, z którego nie sposób się wybudzić. „Kurwa, dlaczego ja? Dlaczego inni potrafią, tak po prostu? Dobra, nie tragizuj, nie pierwszy raz i nie ostatni.” Chichoty, liściki, głupie uśmiechy, ktoś obok o coś pytał, to Alina, ona pierwsza rzuciła kamień, widziałam kątem oka, jak kładąc się ze śmiechu na ławce co chwila próbowała naśladować moje tiki. Parę dni po rozpoczęciu roku szkolnego cała pierwsza klasa śląskiego liceum ogólnokształcącego była w szoku, najwidoczniej nigdy wcześniej nie zetknęli się z tego typu defektem. Miałam tak spocone dłonie, że zostawiły na długopisie wilgotne zacieki. „Bez serc, bez ducha, to szkieletów ludy...”. Chciałam już wyjść na środek, położyć zeszyt przed profesorem Sikorą i wyrecytować wiersz. "Tak, tym razem wyjdę z tego obronna ręką, tak normalnie, nikt nie będzie szydził, wszyscy zdążyli przywyknąć."

Wodząc wzrokiem po kątach sali, szukałam dziury i gdyby trafiła się chociaż taka maleńka, maciupka, zrobiłabym wszystko, by zmieścić w niej całe ciało. Można by je sprasować razem z duszą, zwinąć w rulon i wetknąć w najczarniejszy kąt, przecież i tak ten zestaw nie był wiele wart. Przeniósłszy wzrok za okno, na niebo błyszczące wczesną wiosną, oddzieliłam umysł od niedoskonałego ciała, zanurzając myśli w szeleście promieni tańczących na zewnątrz. To chyba tak, jakbym na chwilę psychicznie umarła. Tymczasem stojąc na środku sali dobry kwadrans, dotarłam zaledwie do czwartego wersu. Z ust wypływały powtórzenia głosek, sylab, słów przeplatane pomrukiem: "yyyyyyyyyyyyyy". Wszystko razem brzmieniem przypominało próbę odtworzenia magnetofonowej taśmy, którą w zabawie pomięło dziecko. Nawet ja sama nie byłam w stanie tego słuchać, a reszta klasy z pewnością przeżywała podobne katusze.

Są takie momenty w życiu, gdy namacalnie doświadczamy istnienia - planeta, niebo, drzewa, mury, ludzie i ty w epicentrum wydarzeń, na trajektorii lotu sytuacyjnych odłamków, w ogniu człowieczych uczuć. Uświadamiasz sobie, że wszystko dzieje się naprawdę, że sny nie przecierają oczu, zakładając kapcie, tylko zostają w łóżku z głową wtuloną w poduszkę, że droga, którą podążasz, może niespodziewanie skrócić do piekła. Mój moment powrotnego scalenia umysłu z ciałem bolał niczym otwarta rana posypana solą.

Profesor Sikora uniósł dłoń na znak, że usłyszał już wystarczająco dużo. Pochyliwszy głowę nad zeszytem, dłuższą chwilę ssał czubek pióra z rodzaju tych, dzięki którym dzieciaki stawiają soczyste kleksy, po czym rzekł:

- Dobry, siadaj.

Zawtórował mu ryk silnika dobiegający zza uchylonego okna. Przyjechałeś po mnie.

Widziałam przez okno szkolnego korytarza, jak cierpliwie czekasz. Mieliśmy jechać do parku do Świerklańca na naszą piątą randkę. Po pierwszej wywiało cię na miesiąc, jak czarne ziarenka z zaszuszonej makówki. W ogóle często znikalesz. Szłam do łazienki, by zmyć z powiek obraz zasepionej twarzy profesora Sikory dumającego nad oceną recytacji. Siedziałeś na motocyklu, obserwując zdezelowane drzwi. Nie było dziewczyny, która nie rzuciłaby okiem w kierunku czerwonego rumaka i jego właściciela, dlatego, tonąc w chłodnej stali twoich tęczówek, wciąż zadawałam sobie pytanie, czemu tak się uparłeś, czemu ja. Przecież nie potrafiłam płynnie powiedzieć jednego zdania, nie rozumiałam większości żartów, zewsząd wystawały kości i kosteczki, równie kruche jak zadowolenie z samej siebie. A ty zdawałeś się tego wszystkiego nie dostrzegać, tylko w kółko opowiadałeś o jakiejś czekoladzie. Zimna woda nie przyniosła ulgi, oczy nadal piekły.

W parku, siedząc po turecku za jedną z ławeczek, balangowały moje koleżanki, a obok nich pusta litrowa butelka po wódce odbijała słoneczne promienie. Przymknięte powieki, niezrozumiały bełkot i pierwsze torsje uświęcały skostniałą jeszcze przestrzeń, jak kościelne kropidło wiernych. Nie mogły dojść do przystanku, co chwila przewracając się na trawnik. Wieczorem miały całkowicie się zeszmacić zarzucając kwasa i dotykając w kącie knajpy wyimaginowanych palmowych liści. Patrząc na nie z obrzydzeniem, powiedziałaś, że kiedyś zabierzesz mnie daleko stąd.

Tego dnia randka nie trwała długo. Próbowałeś za wszelką cenę wyciągnąć ze mnie, dlaczego nic nie mówię. Prawda nie chciała przejść przez zaciśnięte gardło. "Wiesz, nie dałam rady wyrzucić z siebie kilku pieprzonych zwrotek. Prawdopodobnie do niczego się nie nadaję. Dalej mnie chcesz? Masz dość? No, co ty!" Spłonęłabym ze wstydu. Był początek kwietnia, wątle żdźbła młodej trawy oblane słońcem jak rumiane policzki dziewczicy, słyszającej dźwięk kroków wybranka tuż za drzwiami sypialni, zasysały życie pośród szumu drzew. Tytoń miał gorzki posmak, a twoje usta na próżno szukały moich warg. Powiedziałaś, że to chyba jednak nie ma sensu.

Dochodziła druga nad ranem. Czasem nawet najgrubsze mury nie są w stanie wchłonąć całego krzyku, ani brzęku rozbijanych butelek. Naciągnięta na głowę kołdra była słabą izolacją, nie łagodziła ostrości

dźwięków. Zapach tanich papierosów, wymiocin i przypalonego mleka szybował w powietrzu, wgrzając się w firany i obicia, jak fetor ciała toczzonego rozkładem. Założyłam spodnie. W zimnym przedpokoju stopy odciskały swój kształt w urynie, na wpół strawionym jedzeniu i łzach matki, nie wiedziałam już, czy to wydzielina żalu, czy bardziej szaleństwa.

Padał deszcz. Krople lądowały na twarzy, jedna przy drugiej, niczym stado ptaków, a gdy było już zbyt ciasno, szeroka struga spływała w kierunku brody, zabierając z sobą słone drobiazgi wyciśnięte z oczodołów. Broczyłam bezbarwną krwią. Jezus też broczył podczas ostatniej wędrówki, a na końcu drogi czekała śmierć i odkupienie.

Dzwoniłam, aż ciche łkanie deszczu przerwał twój zaspany głos zniekształcony przez domofon.

- Mmmmoooooogę weweweeeeejęć? - zapytałam, szczękając zębami. Odpowiedziało mi brzęczenie zwolnionej blokady zamka. Stałeś w drzwiach ubrany tylko w szare dresowe spodnie.

- Przyszłaś pieszo?

Kiwnęłam twierdząco moką głową.

- Trzeba było zadzwonić, masz mój numer, przyjechałbym.

- Nnnnie mmmiamiaaaałam zsssz czeczeczego. – Każdy czasem mija się z prawdą.

Nienawidziłam rozmów telefonicznych od chwili, gdy urzędniczka, słysząc w słuchawce rwany monolog, zapytała „Przepraszam, pani jest pijana?”. Oliwy do ognia dołał brat mojej przyjaciółki, który usłyszawszy „yyyyyyyyyyyyyy” rozpoczynające zdanie, odpowiedział chichotem, po czym zawołał „Magda, yyyyyy dududukacz do ciebie!”. Natychmiast odłożyłam słuchawkę, a łzy mimowolnie spłynęły po policzkach. Siedziałeś obok. Byliśmy na trzeciej randce. Siłą wyciągnąłeś ode mnie, co się stało. W efekcie Bartek tak oberwał, że przez miesiąc nie wychodził z domu. Jednak wtedy otrzymałam od samej siebie całkowity zakaz na samodzielne wykonywanie telefonów.

Powoli ściągnąłeś mokre ubranie. Brudne dźwięki dzikich koni Micka Jaggera, uderzywszy w ciało, galopowały teraz wewnątrz mnie, wprawiając mięśnie w niekontrolowany dygot. Starłeś z mojej zziębniętej skóry wiosenną wilgoć.

- Będiesz spać w sypialni, a ja...

- Ty tttteteż - dokończyłam.

Pościel ziała lodem, albo po prostu ja dostałam gorączki. Leżałeś nieruchomo, tylko klatka piersiowa w równych odstępach czasu unosiła cień w mroku kilka centymetrów w górę. Sen nie chciał nadejść. Gdy na siłę przymykałam powieki tysiące ruchliwych robaczek biegło wokół gałek próbując wydostać się na zewnątrz. Załamania kołdry otoczyły nas delikatnością fal, tnąc jasne cienie wstającego dnia. Położyłam głowę na twoim ramieniu.

- Kkkokooooochaj się zzzzeze mną. – Szept zdawał się kruszyć spokój nadchodzącego brzasku. Sekundę później dotknąłeś moich ust. Chciałam poczuć, jak żyjesz, we mnie.

Z kolejnych godzin, dni, tygodni, pamiętam tylko jedno, szczęście. Broń na dnie nocnej szafki, zniknięcia, nagły chłód w oczach, gwałtowny seks, wszystkie twoje grzechy nie miały dla mnie znaczenia, tak samo, jak dla ciebie nie miał znaczenia fakt, że nie potrafię normalnie powiedzieć: „kocham cię”.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

puma81, dodano 23.03.2014 08:23

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.